

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

### SAM

Żyłem w strefie wojennej.

Kiedy zatrzymałem się na podjeździe, w okna mojego samochodu uderzyła muzyka. W przestrzeni wokół domu dudniły basy, jakby cały budynek był jednym wielkim głośnikiem. Najbliżsi sąsiedzi mieszkali całe akry dalej, więc nie byli narażeni na symptomy zaburzeń psychicznych, jakie regularnie serwował im Cole St. Clair. Jego ego było tak wielkie, że po prostu nie mieściło się w czterech ścianach. Krwawiło przez okna, ryczało ze stereo, krzyczało w środku nocy. Mimo braku dostępu do sceny chłopak wciąż był gwiazdą rocka.

Od kiedy Cole zamieszkał w domu Becka – czyli w m o i m domu – przeistoczył go nie do poznania. Zupełnie jakby nie mógł się powstrzymać od niszczenia wszystkiego, co stało mu na drodze. Chaos stanowił efekt uboczny samej jego obecności w pokoju. Cole rozrzucał opakowania od płyt CD po podłodze w salonie, zostawiał telewizor włączony na telezakupach, przypalał dziwne lepkie substancje na dnie patelni i porzucał brudne naczynia na kuchence. Panele podłogowe w korytarzu na dole poryte były śladami pazurów, które wilczym szyfrem prowadziły z pokoju Cole'a do łazienki i z powrotem. Z niewiadomych przyczyn chłopak wyjął wszystkie szklanki z szafek kuchennych (drzwiczki zostawił pootwierane) i uszeregował je według wielkości na blacie. Obejrzał z tuzin filmów z lat osiemdziesiątych i zostawił niespakowane do pudełek płyty na podłodze przed odtwarzaczem, który znalazł gdzieś w piwnicy.

Kiedy po raz pierwszy wróciłem do domu i zobaczyłem panujący w nim bałagan, popełniłem błąd, biorąc całe sprzątanie na siebie.

Minęło wiele tygodni, zanim uświadomiłem sobie, że jego problemy mnie nie dotyczą. Są jego. W życiu Cole'a wszystko kręciło się wyłącznie wokół jego osoby.

Wysiadłem z volkswagena i ruszyłem w kierunku drzwi. Nie zamierzałem zostać w domu na tyle długo, żeby natężenie dźwięku miało mi przeszkadzać. Miałem do skompletowania bardzo konkretną listę przedmiotów: latarka, benadryl, drucziana klatka z garażu. Po drodze kupiłem trochę mielonej wołowiny, żeby włożyć do niej lek.

Próbowałem ustalić, czy wilk wciąż może mieć wolną wolę. Zastanawiałem się, jak straszną jestem osobą, skoro planuję otumanić lekami swoją dziewczynę i przetrzymywać ją w piwnicy... Jednak jako wilk mogła umrzeć na tyle sposobów: jedna sekunda za długo na autostradzie, kilka dni bez udanego polowania, jeden krok za daleko na podwórku pijanego wieśniaka ze strzelbą.

Czułem, że ją stracę. Nie wytrzymałbym kolejnej nocy, myślą o zagrożeniach, które na nią czyhają.

Kiedy otworzyłem tylne drzwi, linia basów zmieniła się w muzykę. Piosenkarz, z głosem zniekształconym przez głośność, krzyczał do mnie: „Suffocate suffocate suffocate”. Tembr głosu wydawał mi się znajomy i nagle uświadomiłem sobie, że to była „NARKOTIKA”, puszczona tak głośno, że pomyliłem pulsujący elektroniczny *beat* z biciem własnego serca. Wszystko we mnie wibrowało w rytm piosenki.

Nawet nie zawracałem sobie głowy nawoływaniem Cole'a. I tak by mnie nie usłyszał. Światła, które zostawił pozapalane, zdradzały historię jego ruchów: przez kuchnię, korytarzem do jego pokoju, do łazienki na dole i do salonu, gdzie stały wieża i głośniki.

Przez chwilę rozważałem, czy go odszukać, ale nie miałem czasu, żeby polować na niego i na Grace. Znalazłem latarkę w szafce przy lodówce, chwyciłem banana i ruszyłem w kierunku hallu. Natychmiast potknąłem się o porzucone w przejściu buty Cole'a, pokryte skorupą błota. Dopiero teraz zauważyłem, że podłoga kuchenna była pokryta warstwą ziemi. Matowe, żółte światło zalewało brudną węzową ścieżkę kroków chłopaka wydeptaną przed szafkami.

Zanurzyłem dłoń we włosach i niepewnie potarłem palcami skórę głowy. Miałem ochotę zakląć, ale się powstrzymałem. Co Beck zrobiłby z Cole’em?

Nagle przypomniałem sobie psa, którego Urlik przyprowadził kiedyś po pracy do domu. Był to prawie dorosły rottweiler, z niewiadomych przyczyn wabiący się Szofer. Ważył tyle co ja, był pokryty świerzbem w okolicy bioder i przejawiał bardzo przyjacielskie usposobienie. Urlik był cały w skowronkach, mówił o psach stróżujących i Schutzhund<sup>\*</sup>, i o tym, że pokochał Szofera jak brata. W ciągu godziny od swojego przybycia pies zjadł prawie dwa kilo mielonej wołowiny, odgryzł okładkę z biografii Margaret Thatcher – myślę, że zjadł też większość pierwszego rozdziału – i zostawił parującą kupę na kanapie. „Zabierz stąd tego cholernego langoliera<sup>\*</sup>” – zażądał kategorycznie Beck.

Urlik określił Becka mianem Wichser<sup>\*</sup>, zgarnął psa i wyszedł. Beck powiedział mi, że bym nie powtarzał tego słowa, bo właśnie takiego określenia używają nieokrzesani Niemcy, kiedy wiedzą, że nie mają racji. Kilka godzin później Urlik wrócił bez Szofera i było jak dawniej. Ale nigdy już nie usiadłem po tamtej stronie kanapy.

Ja nie mogłem wyrzucić Cole’a. on przecież nie miał gdzie się podziać. Poza tym nie chodziło o to, że chłopak był nieznośny z natury. Stawał się taki dopiero wtedy, gdy był nierozcieńczony, spożywany bez dodatków, które mogłyby stłumić wyraźny smak jego ego.

Ten dom był zupełnie inny, kiedy wypełniali go ludzie.

Piosenka dobiegła końca, a w salonie na moment zapadła cisza. Potem z głośników ryknął kolejny utwór „NARKOTIKI”. Głos Cole’a eksplodował w korytarzu. Był głośniejszy i bardziej przenikliwy niż w codziennym życiu:

*Połam mnie na kawałki  
wystarczająco małe, by  
zmieścić się we wnętrzu twojej dłoni, kochanie.  
Nigdy nie myślałem, że mnie ocalisz.  
Odłam kawałek  
dla swoich przyjaciół,  
odłam kawałek  
dla siebie na szczęście,  
odłam kawałek  
i sprzedaj, sprzedaj,  
połam mnieeee...*

Mój słuch nie był tak wrażliwy jak wtedy, kiedy przemieniałem się w wilka, ale wciąż był lepszy niż u większości ludzi. Ta muzyka wydała mi się agresywna niczym napaść, prawie namacalna.

Szybko przeciąłem pusty salon – postanowiłem, że wyłączę wieżę w drodze powrotnej – i dotarłem do schodów. Wiedziałem, że w łazience na dole całe mnóstwo lekarstw, ale nie potrafiłem tam wejść. Widok wanny wciąż przywoływał złe wspomnienia. Na szczęście Beck, pamiętając o mojej przeszłości, trzymał dodatkowy zapas lekarstw w łazience na górze, gdzie był tylko prysznic.

Także tutaj czułem pod stopami wibrujące basy. Zamknąłem za sobą drzwi, na chwilę odłożyłem banana i latarkę, a następnie optukałem ramiona z zaschniętych mydlin. Potem otworzyłem szafkę z lustrem na drzwiczkach. Jak większość wspólnych mebli łazienkowych była pełna nieco obrzydliwych

---

\* Schutzhund (j. niem.) – pies obronny.

\* Langolierzy – fikcyjne istoty, monstra występujące w opowiadaniu S. Kinga pt. „Langolierzy”, zawartym w zbiorze „Czwarta po północy”.

\* Wichser (j. niem.) – wulgarnie: idiota.

dowodów bytności innych ludzi: maści i tubek z pasta do zębów, pigułek na już nieaktualne dolegliwości, szczotek pokrytych włosami nie mojego koloru, płynów do płukania jamy ustnej, których data ważności upłynęła około dwóch lat wcześniej. Powinienem tu posprzątać. Kiedyś się za to zabiorę.

Ostrożnie wyjąłem benadryl. Kiedy zamknąłem szafkę, zobaczyłem w lustrze swoje odbicie. Włosy miałem dłuższe niż kiedykolwiek, a moje złotożółte tęczywdki wdawały się jaśniejsze niż zwykle w kontraście z sińcami pod oczami. Ale coś innego przykuło moją uwagę. Coś w wyrazie mojej twarzy, coś, czego nie rozpoznawałem. Jakaś bezradność, a jednocześnie poczucie poniesionej porażki. Kimkolwiek był ten Sam, nie znałem go.

Złapałem banana i latarkę z brzegu umywalki. Nie było na co czekać. Prawdopodobnie z każdą minutą Grace oddalała się ode mnie coraz bardziej.

Zbiegłem po schodach, pokonując po dwa stopnie na raz, i znowu wpadłem w sam środek kipiącej złości muzyki. Salon wciąż był pusty, więc podszedłem do wieży, żeby ją wyłączyć. Nie było tu nikogo, kto słuchałby tej furii eksplodującej z głośników. Lampy stojące przy sofach w szkocką kratę rzucały cienie w każdym kierunku. To właśnie one, bardziej niż cokolwiek innego, sprawiły, że poczułem się nieswojo. Były odrobinę niedopasowane do wystroju, z ciemnymi drewnianymi podstawami i kremowymi abażurami. Beck przyniósł je któregoś dnia, a Paul oświadczył, że teraz już cały dom prezentuje się tak, jakby urządziła go jego babcia. Może to z tego powodu nigdy ich nie używaliśmy. Zawsze zdecydowaliśmy się na jaśniejsze oświetlenie sufitowe, które sprawiało, że wyblakłe czerwienie na kanapach stawały się mniej smutne, i zatrzymywało noc na zewnątrz. Ale teraz bliźniacze kałuże światła rzucane przez lampy przypominały reflektory punktowe na scenie.

Wbrew temu, co myślałem, salon nie był pusty.

Obok mebla leżał wilk. Drżał i szarpał się. Miał odstonięte zęby. Rozpoznałem kolor futra i przenikliwe zielone oczy – to był Cole w trakcie transformacji.

Doświadczenie podpowiadało mi, że chłopak musiał się właśnie przemieniać. Nie wiedziałem, czy była to przemiana z wilka w człowieka, czy odwrotnie, ale czułem się nieswojo. Obserwowałem go przez minutę, żeby sprawdzić, czy będę musiał wypuścić go na zewnątrz.

Dudniąca muzyka zamilkła wraz z końcem kolejnej piosenki, ale echa bitów wciąż drgały w moich uszach. Upuściłem zebrane przedmioty na kanapę obok, czując, jak jeżą mi się włosy na karku. Przy drugiej kanapie wilk wciąż wił się w spazmach, raz za razem rzucając łbem na boki, nieprzytomnie, gwałtownie i mechanicznie. Łapy sztywno wyciągnął przed sobą. Z jego rozwartych szczęk ciekła ślina.

To nie była przemiana. To był atak padaczki.

Wzdrygnąłem się, zaskoczony, gdy powolny akord pianina rozdzwonił się tuż obok mojego ucha, ale to był tylko początek następnej piosenki na płycie.

Obszedłem kanapę i ukląknąłem przy wilku. Para spodni leżała na dywanie obok. Kawałem dalej walała się na wpół docięnięta strzykawka.

Cole – wyszeptałem – co ty sobie zrobisz?

Wilk wciąż rzucał głową na boki.

Cole śpiewał z głośników. Jego głos był powolny i niepewny w zestawieniu z rzadkimi nutami samotnego pianina. Takiego Cole'a jeszcze nie słyszałem:

*Skoro jestem Hannibalem,  
gdzie są moje Alpy?*

Nie było nikogo, do kogo mógłbym się zwrócić o pomoc. Nie mogłem przecież zadzwonić pod 911. Także Beck nie wchodził w grę. Wyjaśnienie wszystkiego Karyn, mojej szefowej z księgarni, trwałoby za

długo, nawet jeśli mógłbym jej zaufać, że dochowa tajemnicy. Grace pewnie wiedziałaby, co robić, ale nawet ona była daleko w lesie, ukryta przede mną.

Odczułem bolesne ukłucie, przecucie nieuchronnie zbliżającej się straty. Czułem, jakby moje płuca z każdym wdechem natykały się na papier ścierny.

Ciało Cole'a przeszły kolejne spazmy, wilcza głowa odskakiwała w drgawkach raz za razem. Było coś niepokojącego w tym, że jedynym dźwiękiem towarzyszącym tym gwałtownym ruchom było tarcie łąba o dywan, podczas gdy z głośników płynął głos, którym Cole już nie dysponował. Wyciągnąłem telefon. Tylko do jednej osoby mogłem zadzwonić. Wybrałem numer.

- Romulus – rzuciła Isabel, odbierając po zaledwie dwóch dzwonek. W tle usłyszałem ryk silnika i szum samochodów na drodze. – Myślałam o tym, żeby do ciebie zadzwonić.
- Isabel – zacząłem. Z jakiegoś powodu nie potrafiłem przybrać odpowiednio poważnego tonu. Mój głos brzmiał tak, jakbyśmy rozmawiali o pogodzie. – Myślę, że Cole ma atak padaczki. Nie wiem, co robić.

Nawet się nie zawahała.

- Przekręć go na bok, żeby nie udławił się własną śliną.
- Ale on jest wilkiem.

Cole wciąż walczył. W jego ślinie pojawiły się drobinki krwi. Pomyślałem, że chyba ugryzł się w język.

- Oczywiście – warknęła. Była wyraźnie wkurzona. To oznaczało, że naprawdę obchodzi ją, co się z nami dzieje. – Gdzie jesteście?
- W domu.
- No to do zobaczenia za chwilę.
- Czy ty...?
- Przecież ci powiedziałam – oświadczyła Isabel – że myślałam o tym, żeby do ciebie zadzwonić.

Po dwóch minutach SUV zatrzymał się na podjeździe.

Dwadzieścia sekund później zdałem sobie sprawę z tego, że Cole nie oddycha.